



RECENZJE

Les cartes de la France à l'heure de la mondialisation. Hubert Védrine dialogue avec Dominique Moïsi, Librairie Etheme Fayard wyd. 2000, 190 ss.

Oto smakowita *specialité de la maison*: Hubert Védrine rozmawia z Dominique Moïsi.

Pierwszy z nich jest od 1997 r. ministrem spraw zagranicznych Francji, przedtem współpracował blisko z Francois Mitterandem; ukończył ENA i początkowo był długie lata urzędnikiem zajmującym się problematyką kulturalną w MSZ. Rok temu, kiedy wyszła omawiana książka, Védrine miał 53 lata. Jego partner, Moïsi, był wówczas od dwudziestu lat pracownikiem (ostatnio wicedyrektorem) Francuskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Rozmówcy pozostają ze sobą w długoletnich i dobrych stosunkach. Védrine stwierdza, że nie unikali w rozmowie żadnego gorącego tematu dnia, nie było żadnych tabu, a ta niewielka książeczka ma się przyczynić do lepszego zrozumienia francuskiej dyplomacji. I rzeczywiście – taką rolę spełnia.

Książka wyszła tuż przed objęciem przez Francję przewodnictwa w UE (1 lipca 2000), a zatem przed Konferencją Międzyrządową w Nicei (grudzień 2000). Kogo oczekiwał na niej francuski minister? Czternastu, równych Francji, partnerów w Unii Europejskiej?

Z jego hierarchii państw wynika, że mamy w UE następujące kategorie (skala światowa):

Druga kategoria (pierwszą stanowi jedyne hipermocarstwo, USA) to Francja, Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Północnej Irlandii, Niemcy, czyli mocarstwa o światowych wpływach; ponadto Rosja, lecz to kraj poza UE i w innym kontekście, Védrine mówi o Rosji jako *pusissance de premier plan* (s. 85), Chiny, Japonia. Dodam, że wśród polityków brytyjskich mówi się zwykle o Zjednoczonym Królestwie Wielkiej Brytanii i

Północnej Irlandii jako „mocarstwie regionalnym o światowych interesach”. Dla opisu statusu Federacji Rosyjskiej proponuję określenie dwukontynentalne mocarstwo regionalne.

Trzecia kategoria to Włochy i Hiszpania – po prostu mocarstwa we właściwym tego słowa znaczeniu, *‘puissances’ au sens propre* (s. 14). A oto jego pełna (?) lista „mocarstw we właściwym tego słowa znaczeniu”: Australia, Indonezja, Brazylia, Meksyk, Afryka Południowa, Nigeria, Egipt, Iran, Turcja, Izrael, Włochy, Kanada, Hiszpania, UE (sic!), Polska (s. 14). Francuzi uważają nas za mocarstwo! Oczywiście, nie „mocarstwo o światowych wpływach”; po prostu – mocarstwo „we właściwym tego słowa rozumieniu”, na końcu listy mocarstw. Czy ta inflacja, jak inne, nie przyniesie złudzeń? Traktując rzecz serio: To jeszcze jeden dowód na rzecz tezy, że polskie członkostwo w UE to czynnik o bardzo poważnym, międzynarodowym znaczeniu.

Innych poza wyżej wymienionymi członkami UE nie umieszcza w swej klasyfikacji wcale, lecz z opisu wynika, że przynajmniej niektóre z nich uważa za państwa niższej kategorii: nie będące, ani mocarstwami, ani państwami będącymi w stanie wywrzeć wpływ na swoje otoczenie: to właśnie swego rodzaju państwa normalne – *pays normaux, en quelque sort* (s. 15) – ale „zależne” od innych. Nie wymienia też żadnego z członków UE, który należałby do ostatniej kategorii państw, czyli *pseudo-États* (w tym – *micro-États*).

W samej UE kryteria klasyfikacyjne są czasem prostsze niż u Védrina, a mimo to trzeba było w Nicei zawiadamić przedstawicieli jednego z mocarstw o światowych wpływach, że reguły arytmetyki działają przy liczeniu obywateli Polski tak samo, jak przy liczeniu obywateli Francji, w rezultacie czego Traktat z Nicei przyznaje Polsce adekwatną liczbę, nie pomniejszoną przez dyplomatyczną pomyłkę, w projektowanym podziale głosów w Radzie Unii Europejskiej i Parlamencie Europejskim.

Można zapytać, czy Francja rzeczywiście chce poszerzenia UE? Czy kiedy Jacques Chirac mówił (1997 r.) w Sejmie o polskim członkostwie roku 2000, liczył na cud, czy co innego miał na myśli? Wszak Helmut Kohl także obiecywał (1996 r.), a nie będzie Francuz gorszy od Niemca. Moïsi wymienia Polskę (ale w przypisie) na czele listy krajów „negocjujących” (s. 83), a kiedy stwierdza, że obawy przed rozwodnieniem Unii biorą dziś górę, minister Védrine oponuje, ale miękko, i natychmiast oświadcza, ni mniej ni więcej, że pozycja USA w NATO nie daje im uprawnień

szesnastego członka UE, nie mogą mówić rządów państw UE, które kraje mają być do Unii przyjęte – „Państwa Bałtyckie, Turcja, czy jeszcze inne” (s. 85) – wszak UE nie mówi Stanom Zjednoczonym Ameryki, jakie kraje mają zostać członkami NAFTA. Ten wątek rozmowy jest arcyciekawy. Co o wewnętrznych konsultacjach w UE wie rząd USA, jak ocenia politykę unijną, skoro uznaje potrzebę przekazania rządów krajów UE swojej opinii o rozszerzeniu? Jakie państwa wymieniają dyplomaci USA? Jak argumentują? I co im na to odpowiadają Francuzi i inni? A skoro takie rozmowy mają miejsce, to czy biorąc pod uwagę stosunki Francja-USA, sam fakt takich rozmów nie tłumaczy częściowo rzeczywistego stanowiska Francji wobec rozszerzenia?

Najistotniejsza część rozmowy o integracji europejskiej dotyczy najważniejszego problemu dalszego rozwoju znacznie powiększonej Unii, ale dziś już wiemy, że w Traktacie z Nicei przybrało to postać współpracy wzmocnionej. Niestety, rozmowa nie odpowiada na pytania, jak wzmacniać współpracę i jednocześnie uniknąć w UE odwzorowania struktury panującej w systemie światowym (podział na centrum i peryferie), czy czegoś jeszcze gorszego, czyli powstania superunii poza (ponad?) UE.

Nie wiem, czy może nas pocieszyć fakt, że i Francuzi mają jakieś zmartwienie, skoro od niedawna pracują nad instytucjonalizacją współpracy wojskowo-politycznej w UE z Brytyjczykami (spotkanie w St. Malo, 1998). Trzeba słyszeć, jak polityk brytyjski potrafi mówić o Francuzach, czy francuski o Anglikach (bo nie Brytyjczykach), żeby zrozumieć, że jak się prowadziło wojnę stuletnią, to nawet wpływ pięciuset pięćdziesięciu lat nie załatwia potem wszystkiego, i to nie tylko z powodu przerywników w rodzaju Trafalgaru, Waterloo czy późniejszych operacji północnoamerykańskich. Wiemy jednak, że Francuzi muszą rozmawiać z Anglikami, ponieważ istnieją Niemcy. Obserwator francuskiej polityki może się jednak nie oprzeć wrażeniu, że francusko-niemiecki motor integracji europejskiej ma działać nadal, ale jego niemiecki cylinder nie powinien być wydajniejszy od francuskiego, przynajmniej – nie o wiele wydajniejszy. Na konferencji w Nicei nie udało się (Francuzom?) zmniejszyć liczby niemieckich głosów w gremiach unijnych, Niemców jest więcej niż Francuzów.

Istnieją także Stany Zjednoczone Ameryki, z nimi też trzeba będzie poważnie rozmawiać, ale nawet z recenzowanej książki

wynika, że ta myśl jeszcze nie jest we Francji ugruntowana, a nadto panuje tam przekonanie, że stanowi ona – Francja – alternatywny model cywilizacyjny dla świata. O tej roli Francji najlepiej mówić po francusku, a o kształtowaniu i realizowaniu jej polityki zagranicznej tak, jak o tym mówi minister Védryne: *Ce qui me passionne, c'est de faire de la politique étrangère de la France en action le lieu ou s'opere la synthese de l'experience historique, du realisme le plus aguerri, des exigences morales les plus fortes et plus neuves...* (s. 189). Warto zauważyć, że filozoficzne podejście do polityki zbliża Francuzów do USA bardziej niż innych Europejczyków, ponieważ historycznie rzecz ujmując, to Amerykanie mają skłonność do idealizowania narodowego celu oraz ideologicznego pojmowania swego przeznaczenia w kategoriach ruchu (*Manifest Destiny; American Dream*), podczas gdy Europejczycy na ogół skupiają się raczej na umacnianiu integracji i stabilizacji społecznej.

Czy globalizacja zrodzi we Francji nową falę antyamerykanizmu? Moïsi pyta: Czy terminu „globalizacja” – *mondialisation* – będzie się teraz używać tak, jak do niedawna terminu „imperializm”? Védryne twierdzi, że nie, gdyż większość Francuzów popiera wspólne działania USA i Europejczyków w Kosowie (ale por. Regis Debray, *Guerre dans les Balkans. Une machine de guerre*, „Le Monde” *diplomatique*, Juin 1999; Eric Rouleau, *Les Lecons d'une guerre. Errements de la diplomatie française au Kosovo*, *ibidem*, Decembre 1999). Védryne zapewnia, że Ameryka Clintona jest we Francji podziwiana. I jednym tchem dodaje, że poczucie odrębności jest teraz we Francji silniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Minister spraw zagranicznych przytacza francuskie opinie o USA: „oni nie są tacy jak my”, „nasze społeczeństwa są odmienne” (s. 74), koncepcja „świata euroatlantyckiego” nie jest przyjmowana przez francuskie społeczeństwo. Uczulenie, może nawet opór przeciw hegemonii, jest żywe i rośnie wraz z globalizacją, stwierdza Védryne. W dalszej części konwersacji dodaje, że w Europie Środkowej i Wschodniej istnieje *fascination americaine*, przede wszystkim „audiowizualna”.

Védryne nie może darować Havlowi, że ten przyczynił się do storpedowania francuskiego planu Konfederacji Europejskiej. Minister uważa, że w naszej części Europy pomyłono UE (mówiąc o roku 1990 używa nazwy Unia Europejska *avant la lettre*) z NATO. Moglibyśmy już dziesięć lat współpracować w strukturach europejskich nad poszerzeniem Unii, powiada. Ale – można sobie

wyobrazić takie pytania – czy pomysł konfederacji europejskiej zgłoszony przez Mitteranda w końcu 1989 roku nie był dywersyjnym (nie jedynym takim) zamiarem stworzenia pozorów i odsunięcia naszej reintegracji z Zachodem *ad calendas graecas*? A czym było zachowanie Francuzów w pewnym momencie konferencji madryckiej NATO 1997 roku, jeśli nie zawoalowaną obstrukcją rozszerzenia NATO?

Czy istnieje tożsamość zachodnia? Védrine odpowiada przecząco, aczkolwiek nie kategorycznie. Tożsamość francuska, tak, to na pewno; istnieje też tożsamość europejska, jako rzeczywistość historyczna i kulturowa w trakcie stawania się polityczną, ale – zachodnia? „To jest dla mnie mniej widoczne. Wspólnota wartości pozostaje czymś względnym, a system sojuszniczy nie wystarczy do wytworzenia wspólnej tożsamości. W jeszcze mniejszym stopniu może tego dokonać gospodarka rynkowa”. Zaznacza wszakże, że stosunki Francja–USA na poziomie przywódców i ambasadorów są *excellentes* (s. 79–80).

W rozmowie z Védrinem nie mogło nie paść pytanie o rolę kultury w formowaniu francuskiej polityki zagranicznej. Dziedzictwo kulturowe, szczególnie literatura i do niedawna światowy status języka francuskiego zapewniają Francji miejsce specjalne, zgadzają się rozmówcy. Taki rozdział o kulturze nie mógłby się ukazać w podobnej książce „w żadnym kraju Europy, i *a fortiori* gdzie indziej” (s. 33; czytaj: i tym bardziej w USA). Obydwaj panowie zgodni są co do tego, że w żadnym innym kraju kultura nie odgrywa takiej roli w polityce zagranicznej, choć nie mogą przecież nie wiedzieć, że każdy kraj europejski rozwija swoje instytucje kulturalne za granicą. A dlaczego nie odgrywa? Ponieważ nie jest francuska, nie jest wyjątkowa, to Francja posiada *l'exception culturelle*, a język francuski jest „kodem genetycznym” Francuzów.

A czy polska mowa – zapytajmy – nie tworzy takiego kodu Polaków? A nasza muzyka, poezja, film? Tymczasem kultura nie odgrywa w polskiej polityce zagranicznej takiej roli. Może więc nie jest dla nas tyle warta co francuska dla Francuzów, może nie potrafimy tego robić, lecz wypowiedź francuskiego ministra implikuje coś więcej: Francuska odmienność polega na tym, że inni po prostu nie mają co pokazać. Nie pada w tym kontekście nazwisko sekretarza generalnego KPZR, który nakazał kiedyś, żeby 80 proc. muzyki w mediach pochodziło od kompozytorów

radzieckich, nie wspomina się Hiszpanii z jej wymogiem 51-procentowego udziału rodzimej produkcji filmowej, nie wymienia się nazw krajów, w których nie publikowane instrukcje wewnętrzne wprowadziły podobne regulacje. Francja zawsze zajmowała w UE stanowisko nie dopuszczające do pełnej liberalizacji rynku w tym zakresie, ograniczając dostęp medialnych produktów *made in USA*. Popieranie kultury własnej wymaga ograniczenia dostępu do zagranicznej? Czy to jest nacjonalizm ekonomiczny, czy jakiś inny, czy po prostu nacjonalizm bez przymiotników, jakiś paradoksalny *nationalisme sans frontiers*, a może – patriotyzm?

Trudno się jednak nie zgodzić z Védrinem, kiedy mówi, że rozpowszechnia się teraz na świecie szybko „rodzaj angielszczyzny dworcowej w amerykańskiej odmianie” (s. 35). Nie utożsamiałbym jednak amerykańskiej kultury masowej z amerykańską (USA) kulturą w ogóle. W dawnych dobrych czasach, kiedy elity wielu krajów mówiły po francusku, zwykli ludzie nie byli w stanie w ogóle porozumiewać się na skalę międzynarodową, a ich dostęp nawet do kultury rodzimej był bardziej niż dziś ograniczony. Globalizacja to nieuniknioność i jeśli angielszczyzna może ułatwić ludziom – ludzkości! – znalezienie Drogi, to trzeba ją u siebie doskonalić. O losy francuskiego we Francji nie trzeba się obawiać. Jeżeli jednak Francuzi upatrują zagrożenia w dworcowej angielszczyźnie, to co powiedzieć o polskiej łacinie kuchennej? To nie są śmiertelne zagrożenia dla naszych kultur, ale język potoczny o czymś świadczy i coś zapowiada. Rzadko dziś pada termin „anglosaskie”. Jeszcze ćwierć wieku temu polskie użycie terminu było takie jak francuskie (ja pisałem o mocarstwach anglosaskich), z tym że u nas to pojęcie tak definiowane wychodzi z użycia, słowniki traktują je już wyłącznie jako etnonim, podczas gdy Francuzi nadal tego pojęcia używają w szerszym, aczkolwiek nie takim samym jak dawniej znaczeniu kulturowym. W jakiejś mierze kategoria ta oddaje rzeczywistość, w jakiej się ją tworzy, w jakiejś sama ulega zmianie co do treści, twórcami aktywnymi są właśnie Francuzi. Anglosaskie jest teraz nade wszystko to, co pochodzi z USA, a – jak Francuzom wiadomo – wadą Amerykanów z USA jest ich pochodzenie od Anglików. Żyzna jest francuska gleba dla stereotypów. Stereotypizacji ulega też pojęcie globalizacji, która jest z tego powodu dla niektórych Francuzów tylko produktem anglosaskim, preferencją dla systemu *common law*, ultraliberalnym i skrajnie antyetytystycznym rynkiem, racjonalizacją amerykańskiego interwencjonizmu, refleksem protestanckiej mentalności,

indywidualizmem zaprzeczającym republikanizmowi współczesnej demokracji, irytującym nazywaniem wszystkiego po angielsku, jakimś nowym totalitaryzmem-globalitaryzmem, etc.

Polityka zagraniczna Francji jest dla mnie w pewnej mierze reakcją na utratę imperium. Francuzi działają nieraz w stylu, który pasuje ich pomiędzy Brytyjczykami a Rosjanami – ci także żegnają się ze swymi imperiami. Francuzi muszą obchodzić rocznicę raczej obcego lądowania w swojej Normandii, ale też nie mają już swojej Ukrainy do stracenia. Dopiero niedawno podjęto we Francji próbę uporania się z pamięcią o kolaboracyjnej i antysemitowskiej polityce Francuskiego Państwa ze stolicą w Vichy. Wraca dyskusja o wojnie algierskiej, w stylu debaty o roli Wehrmachtu w krajach okupowanych na Wschodzie. Czuje się jeszcze we Francji gorzkość upokorzenia w związku z Konferencją Poczdamską 1945 roku, interwencją sueską 1956, utratą Indochin oraz kolonii w Afryce, brytyjską przewagą w stosunkach z USA (Waszyngton m.in. nie dopuszczał Paryża do informacji w zakresie broni nuklearnych i wywiadu satelitarnego, a teraz pojawiają się podejrzenia o istnienie światowego systemu podsłuchu czyli amerykańsko-brytyjskiego satelitarnego systemu szpiegostwa gospodarczego (niektórzy członkowie Parlamentu Europejskiego mówią o pewności w tym zakresie – por. Stuart Millar, Richard Norton-Taylor and Ian Black, *Worldwide Spying Network is Revealed. MEPs confirm eavesdropping by Echelon electronic network* – „The Guardian” z 26 maja 2001 r.; w sensacyjnym stylu opisał niedawno wyniki tej współpracy James Bamford, *Body of Secrets. How America's NSA and Britain's GCHQ Eavesdrop on the World*, Century, London 2001, s. 721).

Absurdalne byłoby podejrzenie, że upadek sowieckiego komunizmu nie był Francji na rękę, ale komunizm komunizmem, a co ZSRR to ZSRR. Podczas gdy Moskwa pragnęła wygrywać Francuzów przeciwko USA, rządzący Francją politycy uważali się oczywiście za inteligentniejszych i sami dążyli do rozgrywania karty sowieckiej. Francja powinna uznać, że jest obecnie „mocarstwem we właściwym tego słowa rozumieniu”.

Jestem pewien, że prędzej czy później dojdzie też do przewartościowania francuskiej opozycji wobec USA, kiedy górę weźmie konieczność bliższego związania gospodarek poszerzonej UE i poszerzonej NAFTA. Musi dojść do głębokiej przemiany w nastawieniu Europejczyków i Amerykanów (USA) wobec siebie i świata zewnętrznego, czas bowiem wyciągnąć ostateczne

wnioski z faktu, że więcej nas łączy aniżeli dzieli (R. Stemplowski (red.), *Prospects for EU-US Relationship*, PISM, Warszawa 2001). Nie wiem, czy przełomowi w tej dziedzinie będą nadawać ton ministrowie spraw zagranicznych, chyba będzie to raczej dzieło ludzi młodego dziś pokolenia, przedsiębiorców, uczonych i techników pracujących w warunkach permanentnej już rewolucji naukowo-technicznej. Za mało mówi o tym Védrin, aczkolwiek deklaruje konieczność zajmowania przez Francję stanowiska w każdej ważnej sprawie o światowym znaczeniu.

Jaka szkoda, że Francuzi nie dostrzegają w poszerzaniu UE swojej szansy. Brytyjczycy nie chcą i nie mogą przeprowadzić UE, a szczególnie – europeizacji świadomości narodowej w krajach Unii; Francuzi przeprowadzić chcą, choć akurat nie europeizacji, tylko że nie wiedzą komu i jak; natomiast Niemcy nie chcą, lecz przeprowadzić mogą i mogą nawet odkryć, że muszą. Jeszcze się okaże, iż francuskie obawy przed rozszerzeniem nie były zgodne z długofalowym interesem Francji. Byłaby to prawdziwa ironia historii, gdyby Francja zaczęła teraz budować centrum UE pomiędzy sceptykami mówiącymi po angielsku, a entuzjastami – po niemiecku (nadałoby to w końcu sens twierdzeniom naszych niepoprawnych frankofilów o polsko-francuskiej bliskości, w przeciwnym bowiem razie nie odzyskają głosu i wymrą), bardzo wiele jednak wskazuje na to, że właśnie aktywność na rzecz rozszerzenia UE mogłaby budować wielkość Francji. Musiałaby ona jednak przejść inicjatywę na rzecz jeszcze skuteczniejszego wspomagania reform w krajach do Unii aspirujących, starając się jednocześnie odpowiednio, całkowicie po nowemu, oddziaływać na swych partnerów w UE. Tak, Francja epoki globalizacji winna zagrać kartą „rozszerzenie”. Droga do wielkości – poprzez konstrukcję Wielkiej Europy. To jest francuska karta, to jest francuski atut. Stawką jest wielkość Francji właśnie, bo co tu dużo mówić, co Francja to Francja. Gdybym jednak mógł tej recenzji nadać tytuł, to wyglądałby on tak: *O waszą i naszą wielkość.*

Ryszard Stemplowski